
Dokumenty

Jeremi Sadowski*

Nauka, edukacja, kultura - czwarty filar UE?

Zaskakujące sukcesy partii ultrapravicowych w wielu krajach europejskich, mnożące się akty gwałtu wobec cudzoziemców, przeciągające negocjacje z krajami kandydackimi, którym proponuje się często rozwiązania trudne do przyjęcia - nagromadzenie tych zjawisk w ostatnim czasie zaczyna przybierać niepokojącą postać. Na razie wciąż jeszcze można je uznać za przejaw słabnięcia europejskiego ducha, a nie za dowód głębszego kryzysu politycznego. Wiadomo jednak, że określony stan świadomości wpływa po jakim czasie na stan instytucji, paraliżując ich struktury od wewnątrz. Wydaje się więc, że fakt, iż w tej chwili co piąty Europejczyk gotów jest oddać swój głos na partie głoszące ksenofobiczne hasła, nie można dłużej bagatelizować. Haider uznawany był jeszcze za postać wyjątkową i ściśle związaną ze specyfiką austriacką. Czy to samo jednak można powiedzieć o Le Penie, Finim, Blocherze?

W tej sytuacji powstać musi pytanie, czy mamy nadal przyglądać się biernie procesowi dalszej erozji europejskiego etosu, dzięki któremu udało się po wojnie stworzyć zjednoczony kontynent, czy też zaczniemy działać, starając się przezwyciężyć obecną zapaść. Często kryzys bywa również szansą na zmianę, która w normalnej sytuacji wydawałaby się zbyt radykalna.

Zastanawiając się nad tym, jak przezwyciężyć obecny kryzys i przywrócić Europejczykom wiarę we własne siły, warto przypomnieć przykład kongresu europejskiego w Hadze, który był źródłem wielu cennych inicjatyw realizowanych w następnych latach. Zwołanie dzisiaj podobnego kongresu, przy-

* *Dziennikarz, członek Polskiej Rady Ruchu Europejskiego, jeden z inicjatorów apelu „Stwórzmy czwarty filar Unii!”*

wołującego świadomie ducha ojców założycieli, miałyby pewne znaczenie psychologiczne, ale nie dałyby chyba podobnych rezultatów. Unia Europejska po wojnie jeszcze nie istniała, tymczasem dziś stanowi skomplikowany instytucjonalny labirynt, który trudno jest zmienić w oparciu o oddolne inicjatywy. Powstaje też pytanie, czy na tej drodze udałoby się dziś zmobilizować opinię publiczną i czy przygotowania do takiego kongresu nie trwałyby za długo. Dlatego nie zarzucając całkowicie myśli o takim spotkaniu, zorganizowanym przez ruch europejski, warto już teraz poszukiwać nowych rozwiązań, pamiętając, że niedawny apel Joschki Fischera o Europę federalną, wspartą na wspólnym rządzie i parlamencie, nie został dobrze przyjęty. Konstytucyjny federalizm, nawet jeśli formułowany jest w sposób ostrożny, nadal budzi silne reakcje obronne.

Na pytanie, co robić, nie jest jednak łatwo odpowiedzieć, ponieważ metoda alternatywna w stosunku do tej, którą zaproponował Fischer – mam tu na myśli tzw. podejście funkcjonalne – też zdaje się zawodzić. Podejście to reprezentowali, by krótko przypomnieć ostatnie dziesięciolecie, twórcy Traktatu z Maastricht, którzy w celu dalszego pogłębienia procesu integracyjnego zaproponowali wprowadzenie wspólnej waluty oraz wspólnej polityki zagranicznej, obronnej i wewnętrznej. Jak się obecnie przekonujemy, tego rodzaju recepta na integrację europejską nie zdała w pełni egzaminu. Mamy co prawda wspólną walutę, a także pierwsze załączki wspólnej polityki obronnej i zagranicznej, ale mamy też pogłębiający się europejski kryzys oraz poczucie bezradności elit politycznych. Ten właśnie stan wykorzystują partie prawicowe.

Jak zatem wyjść z impasu i jak przekształcić obecne wątpliwości i wahania w entuzjazm i zapał, bez którego budowanie wspólnej Europy nie będzie możliwe? Wydaje się, że krokiem we właściwym kierunku byłoby objęcie wspólną polityką europejską takich dziedzin, jak nauka, edukacja i kultura. Działy te nie były dotychczas podporządkowane procesowi integracji, gdyż nie chciały tego same państwa członkowskie. Czy jednak nie nadszedł czas, aby stanowisko to zrewidować? Inwestycje w tzw. ludzki kapitał, a są to właśnie inwestycje w naukę, edukację i kulturę, stały się od jakiegoś czasu głównym hasłem społeczeństw stawiających na szybką modernizację. Byłoby zatem dziwne, gdyby Europa nie chciała wyciągnąć z tego własnych wniosków. Uwspólnotwienie przemysłu ciężkiego oraz polityki rolnej było dobrym pomysłem na integrację w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a więc pół wieku temu. Dziś staje się dziwnym anachronizmem, jeśli traktować je nadal jako priorytet.

Rozciągnięcie procesu integracji europejskiej na naukę, edukację i kulturę pozwoliłoby krajom kandydującym do Unii brać udział we wspólnych badaniach oraz programach edukacyjnych i tym samym nie tracić kontaktu z czołówką europejską. Natomiast krajom Piętnastki umożliwiłoby stanięcie do rywalizacji z USA, Japonią oraz innymi krajami azjatyckimi. W pierwszym przypadku rozwiązałoby to część obaw przed byciem członkiem drugiej ligi europejskiej, w drugim - część lęków przed demonami globalizmu. Nie tylko bowiem kraje kandydackie są wyraźnie niedoinwestowane, jeśli chodzi o naukę, oświatę i kulturę. Niedoinwestowane są, i to niekiedy w sposób bardzo niepokojący, także kraje Piętnastki, zwłaszcza jeśli porównywać je z Japonią czy Stanami Zjednoczonymi.

Ścisła współpraca w tych właśnie dziedzinach wzmocniłaby dawne europejskie więzy, przyspieszając procesy tworzenia się europejskiej tożsamości, którą po usunięciu żelaznej kurtyny budować trzeba często inaczej. Wspólna polityka obronna oraz wspólna polityka zagraniczna UE powinny być dalej rozwijane, ale trudno spodziewać się, by na tej drodze, - przypomnijmy, że korpus europejski liczy 60 tys. żołnierzy - doszło do powstania nowej tożsamości europejskiej. Do pojawienia się lub utrwalenia tej tożsamości dojść może natomiast poprzez wspólne, wieloletnie programy edukacyjne i badawcze oraz przez wzmoczoną wymianę dóbr kultury. Byłaby to też oczekiwana od dawna korekta zbyt ekonomicznego podejścia do problemów integracji, na co skarży się od lat znaczna część Europejczyków. Europa jutra miałaby więc w ten sposób, aby ująć to inaczej, nieco więcej „duszy” niż obecna. A to zbliżyłoby ją również do obywatela, który na co dzień nie jest przecież tylko konsumentem poszukującym tych czy innych satysfakcji rynkowych. Czy nie byłaby to szansa na oczekiwane przyspieszenie procesów integracyjnych, przezwyciężenie obaw przed globalizacją i zepchnięcie zwolenników ksenofobicznych haseł do defensywy?

Jest oczywiste, że program tego rodzaju musi powstawać powoli i powinien być opracowany przez większe grono specjalistów. Publicyści mogą ten proces co najwyżej inspirować poprzez tworzenie projektów o znacznym stopniu ogólności. Tymczasem diabeł tkwi, jak wiadomo, w szczegółach. Stworzenie projektu tego typu współpracy musiałoby więc uwzględnić nie tylko możliwości budżetowe Unii Europejskiej, ale także sprzeczne często interesy państw członkowskich oraz zasadę subsydiarności. Bruksela nie może zastąpić państw członkowskich w prowadzeniu polityki edukacyjnej czy badawczej, może jednak wprowadzić takie wspólne programy, które politykę tę będą uzupełniać,

wzmacniać i koordynować. Specjaliści mówią w takim przypadku o efekcie synergii. Gdyby efekt ten udało się uzyskać i gdyby miał on charakter jakościowo znaczący, to powstałby w ten sposób nowy kierunek działania, przełamujący obecną kwadraturę koła.

Zgodnie z deklaracjami Agendy Lizbońskiej, Unia Europejska ma stać się do 2010 r. najbardziej dynamicznie rozwijającym się regionem świata, m.in. właśnie poprzez wykorzystanie potencjału naukowego. Mówi się w związku z tym o stworzeniu Europejskiej Przestrzeni Naukowej i o zwiększonych – w porównaniu do obecnych – wydatkach na badania. Wydaje się, że bez rozszerzenia tego projektu o kwestie edukacji i kultury, i bez oparcia go na solidnej bazie instytucjonalnej, będzie to jeszcze jedno rozwiązanie cząstkowe, pozbawione odpowiedniej siły inspirującej. A siła ta jest potrzebna, aby projekt europejski mógł nabrać na nowo dynamiki i zarazić kolejne pokolenia, wzrastające w warunkach zupełnie innych niż warunki powojenne.

Fakt, iż ostateczne decyzje podejmowane będą przez Brukselę, nie powinien nas przy tym (myślę tu między innymi o polskim ruchu europejskim) demobilizować i skłaniać do wniosku, że można poprzestać na sformułowaniu apelu do „centralnej władzy”. Dlatego proponuję, aby nie czekając na takie czy inne reakcje czynników oficjalnych, podjąć starania o nawiązanie ścisłej współpracy między uniwersytetami w Paryżu, Berlinie, Pradze i Warszawie. Struktura oparta na tych czterech ośrodkach powinna być otwarta dla innych uczelni i stanowić punkt wyjścia do podobnych inicjatyw. Jeśli uda się nam stworzyć takie „laboratorium”, to nie wątpię, że uda się nam także zrealizować dalsze plany. Wymienione tu cztery uniwersytety to oczywiście pewien skrót myślowy, możliwa jest także jakaś inna konfiguracja uwzględniająca symbolicznie wschód i zachód Europy.

Kwestią podstawową byłoby jednak opracowanie osadzonego w konkretach raportu na ten temat, który można by roboczo zatytułować: stwórzmy czwarty filar Unii Europejskiej! W raporcie tym powinien zostać przedstawiony stan współpracy w wymienionych trzech dziedzinach oraz korzyści, jakie wynikną z jej intensyfikacji i rozbudowy. Czy jednak znajdzie się w Polsce instytucja, która zadania takiego się podejmie?